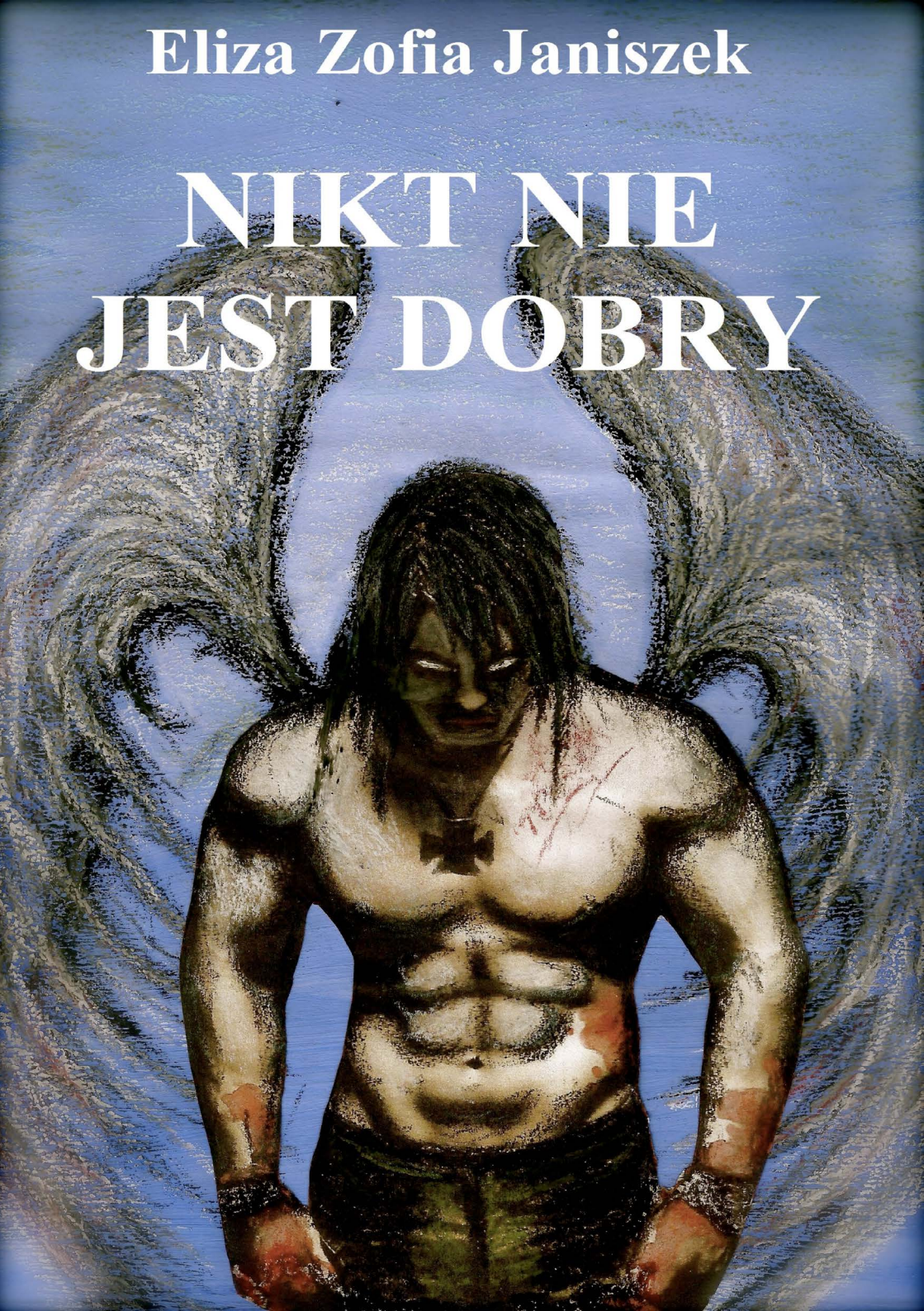


Eliza Zofia Janiszek

NIKT NIE  
JEST DOBRY



Eliza Zofia Janiszek

**NIKT NIE JEST DOBRY**

© Copyright by Eliza Zofia Janiszek & e-bookowo  
Projekt okładki: Eliza Zofia Janiszek  
ISBN 978-83-7859-100-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Patronat medialny

**Twojakultura.pl**

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie II 2013

Eliza Zofia Janiszek Nikt nie jest dobry

*Nikt nie jest dobry, tylko sam Bóg. (Łk 18:19)*

Łk 18:19

## PRZEDMOWA

Trudno wyobrazić sobie postać historyczną mniej kojarzącą się z fascynacją baśniami i skłonnością do fantazjowania, niż Adolf Hitler, a jednak to właśnie on wypowiedział kiedyś następujące słowa: „Legend nie można stworzyć z niczego, nie mogą być tylko przypadkowym zmyśleniem. Nie ma niczego, co nie pozwalałoby nam przypuszczać – a w moim przekonaniu byłoby to nawet w naszym interesie – że mitologia odzwierciedla świat, który istniał, o którym ludzkość zachowała niejasne wspomnienia”<sup>1</sup>. Jeszcze poważniej traktował legendy najbardziej oddany współpracownik przywódcy III Rzeszy – Heinrich Himmler. Szef SS interesował się zjawiskami nadprzyrodzonymi i chętnie skupiał wokół siebie osoby uchodzące za jasnowidzów bądź mistyków, powierzając im wysokie stanowiska w swojej organizacji. Pracownicy instytutu naukowego działającego pod jego patronatem – przy okazji gromadzenia mniej lub bardziej naciąganych dowodów wyższości rasy aryjskiej i tworzenia podwalin nowej religii, mającej zastąpić znienawidzone przez nazistów chrześcijaństwo – zbierali informacje na temat rytuałów magicznych oraz szamanów i czarownic z odległych zakątków świata, takich jak Tybet czy Karelia. Poszukiwali także śladów dawnych skandynawskich bóstw, uważanych przez Himmlera za realnie istniejące istoty, przedstawicieli starożytnej cywilizacji, których wiedza mogłaby przyczynić się do zwycięstwa III Rzeszy.

Na pozór niełatwo pogodzić wiarę w legendy z wizerunkiem polityków stojących na czele dwudziestowiecznego

1 cyt. za: Heather Pringle, *Plan rasy panów. Instytut naukowy Himmlera a Holocaust*; Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2009

totalitarnego mocarstwa, wraz z całą jego technologiczną i militarną potęgą. Jednak tego typu przekonania nie dziwią u osób gotowych na wszystko, na każdą zbrodnię i szaleństwo, byle tylko zrealizować swój plan – pod względem skali i beznamiętnego okrucieństwa wykraczający zarówno poza wyczyny złowrogich postaci z dawnych sag, jak i czarnych charakterów współczesnej popkultury. Trudno zaprzeczyć, że kataklizm, rozpętany przez nazistowskich przywódców był autentycznym piekłem, chociaż – z tego, co wiadomo – do jego stworzenia nie przyłożył ręki żaden bóg ani demon.

## ROZDZIAŁ 1

### LUSTRA

#### MARKUS

Telefon zadzwonił o szóstej rano. Rozmówca nie przedstawił się, ale rozpoznałem go po głosie, zanim wywarczał do końca pierwsze zdanie gniewnej tyrady, rozpoczynającej się od słów „ty podły sukinsynu z piekła rodem”.

Trafna charakterystyka, muszę przyznać. Jednak reszta zarzutów była, w najlepszym razie, mocno przesadzona.

– Ostrzegalem cię – powiedziałem, kiedy przerwał dla zaczerpnięcia tchu. – Wiedziałeś doskonale, co za towar kupujesz i jaką cenę trzeba będzie zapłacić.

– Wspomniałeś tylko o jakichś tam „skutkach ubocznych” – oburzył się. – Zaznaczając, że są „w zasadzie obojętne dla zdrowia”.

– Bo są.

– Chyba z tylko z twojego chorego punktu widzenia!

– Przykro mi, ale klamka zapadła.

– Tego się nie da cofnąć?

– Jedyńie w sposób radykalny – spojrzałem w okno, za którym właśnie wschodziło słońce.

Zapomniałem opuścić rolety i błada poświata powoli wypełniała pokój, przeganiając z kątów resztki błękitnoszarych cieni.

– Co rozumiesz przez „sposób radykalny”? – w pełnym gniewu głosie pojawiła się nuta lęku.

– To samo, co i ty. Też nie jestem zachwycony sytuacją, ale nie martw się, nie zamierzam posuwać się do drasty-

cznych metod dla ratowania własnego tyłka. Mam pewne zasady.

– A ja mam znajomości w prokuraturze i policji! W Kurii Biskupiej zresztą też! – dodał złośliwie mój klient, sądząc najwyraźniej, że się przestraszę.

Gdyby wiedział, z iloma biskupami i kardynałami ubijał interesy mój ojciec! Dawno temu, co prawda, zanim na starość dopadła go paranoja i zaczął drżeć na widok byle klechy.

– Wolfram, nie możesz tego tak zostawić! Musisz mi pomóc!

Już ci pomogłem, pomyślałem. I proszę, co z tego wyszło. Czynienie dobra zdecydowanie nie jest moją mocną stroną.

\*

– Szefie, nie chcę krakać, ale mogą wyniknąć z tego kłopoty – w głosie Leńskiego pobrzmiwa zdenerwowanie. – Ten człowiek ma spory autorytet, zła opinia z jego strony mogłaby nam poważnie zaszkodzić. Zwłaszcza, jeśli pójdzie z tym do mediów.

Media? Wyobrażam sobie, jak mój niezadowolony klient, szanowany biznesmen i polityk, zwołuje konferencję prasową, żeby opowiedzieć światu o zawartej ze mną transakcji. Chętnie bym zobaczył tę komedię. Ale niestety taki głupi to on nie jest. Nawet w obecnym stanie paniki i desperacji...

Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że Leński przecież nie wie nic o porannym telefonie i mojej wpadce. Ten dobry człowiek w ogóle nie ma pojęcia, z kim i jakim towarem zdarza mi się handlować spod lady.

Przyduszam peta w popielniczce, tłumiąc ziewnięcie. Ostatnio kiepsko sypiam, a poza tym ósma rano w niedzielę nie jest odpowiednią porą na rozmowy o interesach i kierownik mojego małego kramu, ponoć gorliwy chrześcijanin, powinien o tym dobrze wiedzieć.



– Przepraszam, nie słuchałem zbyt uważnie – przyznaję, podnosząc wzrok znad laptopa.

Upewniam się, że okrągła sumka wpłynęła na to konto, co trzeba, i zamykam ekran. Leński stuka palcem w gruby tom w miękkiej, kolorowej okładce, leżący obok komputera.

– O! Właśnie od tego śmiecia zaczęło się całe zło!

Poradnik New Age, znaleziony przez moją siostrę na wyprzedaży w księgarni, zdecydowanie nie zasługuje na taką obelgę. Okazał się niezrównanym źródłem natchnienia podczas pisania firmowego katalogu, a potem całkiem niezłą podstawką pod ginącą zwykle w stosach papierów popielniczkę.

– Przecież sam pan mówił, że dzięki tej książce znaleźliśmy świetny sposób na opchnięcie wosku i wazeliny za cenę wielokrotnie przekraczającą hurtową – przypominam.

– Ale wtedy jeszcze nie przypuszczałem, że miejscowy proboszcz wyklnie nas za ten pomysł z ambony. Dzisiaj za to myślałem, że się spalę ze wstydu! Cały kościół tylko na mnie patrzył! A jak on jeszcze machnie artykuł w tym miejscowym dzienniku...

– Będzie darmowa reklama. Nie do pogardzenia w tych ciężkich czasach.

„Wiadomości Lubinieckie” może nie grzeszą nadmierną wysokością nakładu ani porywającą treścią artykułów, ale

w końcu to mimo wszystko gazeta. Jednak Leński z dezaprobatą kręci głową nad moją niefrasobliwością.

– Pan naprawdę nic nie rozumie, czy tylko udaje? A może już panu nie zależy? Proszę powiedzieć szczerze – przeczornie zniża głos do szeptu, chociaż oprócz nas nie ma teraz w budynku żywej duszy.

– Co pan sugeruje? – próbuję się oburzyć, ale w głębi serca wiem, że jego podejrzenia są trafne.

Oprócz jadłodajni z hamburgerami i outletu spożywczego jesteśmy jedyną firmą, która jakoś funkcjonuje

w Lubińcu. Zatrudniamy dwadzieścia osób i płacimy im uczciwe pensje. Oprócz ciecia oraz Leńskiego, nadzorca i księgowego w jednej osobie, pracują tutaj same kobiety, poczciwe, zdolne dziewczyny, którym wydaje się, że w tym wymierającym powoli mieście udało im się złapać wyjątkową okazję. Co by się stało, gdyby ci wszyscy ludzie dowiedzieli się, że nasza dumna manufaktura jest jedynie zasłoną dymną, teatrykiem, który ma odwracać uwagę władz od źródeł prawdziwych dochodów mojej rodziny? I że, co gorsza, mam coraz większą ochotę rzucić to wszystko w diabły? Tę firmę, nieczyste transakcje, swoją przeklętą rodzinę z jej cholernymi problemami. Wszystko. Wyjechać gdzieś, choćby zaraz, gdzie jest błękitne niebo, lazurowe morze i smagłe cycastle piękności przechadzające się nago po białym piasku.

Tyle tylko, że ja też mam swojego szefa. Skurwiela gorszego niż ja, który dopadnie mnie w tym tropikalnym raj, choćbym nie wiem jak starannie zacierał za sobą ślady. I dług do spłacenia. Ogromny dług z odsetkami, które przez lata zdążyły narosnąć do wysokości przyprawiającej o zawrót głowy. W porównaniu z tym fantem służbowe i rodzinne kłopoty wydają się wręcz śmieszne.

Prawda jest taka, że siedzę po uszy w gównie. Istnieje pewne wyjście z tej beznadziejnej sytuacji, ale musi zacząć. Najpierw muszę uporządkować kilka spraw. Zadbaj o kogoś.

– Nigdzie się nie wybieram – przekonuję Leńskiego, który krzywi się z powątpiewaniem.

Podaje mi kolorową broszurę, nie kryjąc zażenowania i obrzydzenia.

Jest to nieco przestarzały już katalog naszej firmy, z gwiazdkowo-walentynkową ofertą. Egzemplarz owego katalogu został podarty przez miejscowego proboszcza podczas dzisiejszej mszy świętej. Podarty, podeptany i rytualnie opluty. Kongregacja ponoć z początku zareagowała zdumieniem, ale wkrótce wraz z dobrodziejem skandowała rażno „precz z szatanem”.

Zaczynam chyba rozumieć, dlaczego jedyny teatr w tym mieście splajtował wiele lat temu.

Wyjmuję katalog z ręki Leńskiego i zaczynam przeglądać, próbując dociec, co wzbudziło święty gniew duchownego. „Wzmacniające siły witalne olejki do masażu o zapachu kwiatów Orientu”? „Bezpieczne krople ziołowe, usuwające toksyny z organizmu po karnawałowych szaleństwach”? „Kuracja odchudzająca zgodna z Twoim znakiem zodiaku”? Przewracam stronę za stroną, zastanawiając się mimo woli, jakim cudem udaje nam się sprzedać co miesiąc całkiem spore ilości tego szajsu. Wbrew temu, co moja siostra sugeruje kontrahentom podczas negocjacji, w oficjalnej ofercie naszej firmy nie ma żadnych magicznych eliksirów. Ani żadnej magii w ogóle. Chyba, żeby uznać marketingowy bełkot za metodę rzucania uroków.

– Niech pan się tak nie przejmuj, panie Grzegorzu, szkoda zdrowia. Porozmawiam z księdzem i wytłumaczę mu, że nie sprzedajemy niczego, co mogłoby zagrażać ludzkiej duszy.

Chyba go nie przekonałem. Patrzy nie na mnie, tylko na katalog, otwarty na stronie z „naturalnym środkiem na potencję wprost z dziewiczych lasów Ameryki Południowej”. No cóż, przyznaję – w tym przypadku siostrzyczka przesadziła nieco z Photoshopem.

– Ksiądz księdzem, szefie, ale nie tylko on rozgłasza niebezpieczne pogłoski na nasz temat. Nie da się ukryć, że źle tu o nas mówią. Wiedziałby pan, gdyby przyjeżdżał pan tutaj częściej, zamiast siedzieć w Warszawie.

– A co, znowu wymalowali nam coś na płocie?

Odkąd moja rodzina pojawiła się w tym zacnym mieście, wśród niektórych jego mieszkańców trwa spór, czy jesteśmy Żydami, czy przedstawicielami niemieckiej skrajnej prawicy. Od czasu do czasu dają wyraz swoim poglądom za pomocą farby w spraju. Niezmiennym motywem tych malowideł jest szubienica. Na stryczku pojawia się gwiazda Dawida na zmianę ze swastyką. Są dni, kiedy to mnie bawi, ale zwykle symbole przywołują tylko niech-

ciane obrazy z przeszłości.

– Kto by się tam tymi bohomazami przejmował! Chodzi mi o inne plotki... – Leński spogląda na mnie wyczekująco, ale teraz nie bardzo mam ochotę na szarady.

– Jakie plotki?

– Bo, wie pan... – oddycha głośno, jakby zabierał się do ciężkiej fizycznej pracy. Jest człowiekiem uczciwym i prawdomównym, a co gorsza, nie umie zachowywać swoich zmartwień dla siebie. – Tu podobno rzadko dochodzi do grubszych przestępstw. Owszem, kradzieże, pobicia, dopalacze i takie tam... Ale zabójstwa zdarzają się bardzo rzadko. A odkąd tu się sprowadziliśmy... To znaczy, nasza firma... – waha się, przestępuje z nogi na nogę. – Sześć trupów, cztery zaginięcia w ciągu dwóch lat. Sporo, jak na takie małe miasto.

Zadziwiająco, jak bardzo opinia publiczna potrafi przejąc się śmiercią czy zaginięciem kilku szumowin, o ile okoliczności są wystarczająco tajemnicze. Żadna z tych rzekomych nieszczęśliwych ofiar nie była niewinna, każda miała zaciekłych wrogów oraz inne dobre powody do ulotnienia się bez wieści. Ale przecież teorie spiskowe są ciekawsze od racjonalnych wyjaśnień. I czasami naprawdę mają coś w sobie, coś oprócz steku kłamstw i fantazji.

Uśmiecham się do siebie. Krzywo i zapewne nieprzyjemnie. Inaczej nie potrafię, nawet jeśli bardzo się staram.

– A co ja niby miałbym mieć z tym wspólnego? Sądzi pan, że handluję spod lady bimbrem, prochami i częściami samochodowymi niewiadomego pochodzenia, więc postanowiłem zlikwidować konkurencję?

– No, nie żeby aż tak... Ale przez takie dziwne zbiegi okoliczności powstają szkodliwe pogłoski. Potem w kolejce w spożywczym albo w knajpie słyszy się różne rzeczy... aż uszy pieką. Boję się, żeby jakieś kłopoty z tego nie wyniknęły, rozumie pan, tu jest dużo nudzącej się młodzieży... – Leński zaczyna się plątać, rumienić ze zmieszania.

Marny z niego detektyw. Między innymi właśnie dlatego wybrałem go spośród kandydatów, którzy dali nabrać

się na ofertę „spokojnej, stabilnej posady z zakwaterowaniem

w malowniczej okolicy”.

– Aha, jeszcze jedno... – z wyraźną ulgą, że może zmienić temat, sięga do wewnętrznej kieszeni kurtki i wręcza mi kopertę. – Dał mi to jakiś dzieciak przed kościołem i prosił, żebym panu przekazał.

W kopercie znajduje się zaproszenie ze zdobionymi brzegami, z papieru udającego pergamin. Impreza charytatywna z okazji sześćdziesiątej rocznicy założenia muzeum. Nie mam nic przeciwko wspieraniu kultury, ale nie przepadam za takimi uroczystościami. Z różnych przyczyn, w większości niezależnych ode mnie.

– Nie chciałbym nic sugerować, ale chyba byłoby dobre, gdyby ktoś od nas poszedł na ten raut. Warto zintegrować się nieco bardziej z miejscową społecznością – zachęca Leński. – Jeśli pan nie chce, ja mogę pójść.

Zerkam na zaproszenie.

– Jest pan gotów znieść „popisy najstarszej śpiewaczki ludowej w województwie” i „widowisko patriotyczne w wykonaniu szkolnego kółka żywego słowa”? Pańskie poświęcenie dla firmy jest doprawdy wzruszające.

– Eeee, bez przesady. Niech pan popatrzy na ostatni punkt programu. Założę się, że dla specjalów, które tam zaserwują, warto będzie przetrzymać nie tylko tę śpiewającą babcie, ale i wykład byłej dziedziczki Lubinca o dziejach zamku. Ale jeśli pan nie chce, nie ma sprawy...

– Jaka znowu „była dziedziczka”? – bezceremonialnie wchodzę w słowo dyrektorowi.

– No, ta profesor Walczak. Z domu Lubiniecka – wyjaśnia bez entuzjazmu, podczas gdy ja na wpół świadomie wstrzymuję oddech. – Pan spyta Koseckiego. Zdaje się, że on dobrze ją zna. Chwalił mi się kiedyś, jakie ma znajomości wśród miejscowej arystokracji...

Ćwierka moja komórka, a Leński taktownie wymyka się z gabinetu. Zerknąwszy na ekran telefonu, odbieram połączenie trochę z radością, trochę z niepokojem, jak za-

wsze, kiedy dzwoni Lily.

– Witaj, siostrzyczko. Nie powinnaś przypadkiem się pakować?

– Nie wiem, czy w ogóle pojedę. Ojciec źle się czuje.

– To chyba normalne w jego wieku – udaję zainteresowanie, wpatrując się w ozdobną karteczkę, jakby była szczęśliwym losem na loterii.

– Twoje współczucie jest doprawdy wzruszające! – oburza się Lily. – Jak zwykle ja mam się wszystkim zająć, tak?!

– Niech Kaj ci pomoże.

– Zwariowałaś?!

– Lily, skoro ten chłopak może już pracować, jest także w stanie zająć się ojcem.

– A ty?

– „Wojna nie wojna, ale ktoś musi pilnować interesu” – cytuję jedną ze złotych myśli naszego dziadka.

– Masz Leńskiego od takich pierdół. Markus, musisz czasem zatroszczyć się o rodzinę!

Pewnie. A czym ja się niby zajmuję przez siedem dni w tygodniu od siedemnastego roku życia?! Nie licząc pewnej dwuletniej, niezamierzonej i bynajmniej nie upragnionej przeze mnie przerwy?!

Termin uroczystości w muzeum wyznaczono na wtorek. Trę nerwowo ząbkowany brzeg zaproszenia. Sumienie mnie dręczy, chociaż wiem, że Lily poradzi sobie ze wszystkimi wybrykami ojca i jeszcze zdąży spokojnie na samolot. Jest silniejsza, niż się wydaje.

– Mam ważne spotkanie, ale przyjadę, kiedy tylko będę mógł.

– Czyli kiedy?

– Pojutrze wieczorem. O ile spotkanie się nie przeciągnie.

Jęczy, ale na szczęście nie pyta, co zatrzymało mnie w Lubińcu. I bardzo dobrze, bo nie mam ochoty jej tłumaczyć, dlaczego nie mogę odpuścić sobie jubileuszu miejskowego muzeum.

– Jest bardzo źle?

– Sam oceń – parska gniewnie moja siostra.

Słychać jej lekkie, szybkie kroki, odgłos otwieranych drzwi. A potem płacz. Płacz przerażonego, niepanującego nad sobą dorosłego. Kiedy ojciec zachowuje się w ten sposób, natychmiast wybaczam mu wszystko. Ale mój przyjazd do Warszawy niewiele by zmienił. Mimo najlepszych chęci i całkiem sporych możliwości, nie potrafię mu pomóc. Nie jestem psychiatrą ani specjalistą od Alzheimera. Nie zdołałbym zresztą zmusić taty do połknięcia tabletek. Zakładając, rzecz jasna, że w ogóle by na niego podziałały.

– Wyciągnął skądś tę przeklętą bransoletkę i nie chce jej oddać – skarży się Lily. – W nocy, kiedy był na spacerze...

– Na spacerze?! Sam?!

– Przecież się nie rozdwoję! Wieczorem wszystko wydawało się w porządku. A zresztą, spróbuj sprzeciwić się ojcu, kiedy czegoś chce!

– I co się stało? – pytam, przygotowując się w myśli na najgorsze.

– Nic. Zabłądził, jak zwykle. Policjanci przyprowadzili go do domu. Byli bardzo uprzejmi, ale wystraszył się ich. Chyba przez te czarne mundury...

– Tak, czarne mundury, właśnie! – podchwytuje tata.

– Wiedziałem, że tak łatwo nie dadzą za wygraną, przekłete trupie czaszki! Ich już dawno nie ma, mówiliście, oni nie żyją. A gdzie dowód, ja się pytam?! Czy ktoś widział zwłoki? Ja nie. I nie uwierzę, dopóki nie zobaczę!

Każdy ma swoje demony. Mój ojciec nie jest pod tym względem wyjątkiem. Tyle, że prześladujące go diabły mają ludzkie twarze i nazwiska. I wcale ich sobie nie wymyślił. Czasem tylko szwankuje mu wzrok i mylą się epoki, jak każdemu starcowi. Kiedy mamrocze coś beładnie o czarnej gwardii ze srebrnymi trupimi główkami na czapkach, niemal widzę, jak miota się tam i z powrotem po pokoju, jak ściska w ręce tę przeklętą błyskotkę.

## Spis treści

PRZEDMOWA	5
ROZDZIAŁ 1	7
LUSTRA	
ROZDZIAŁ 2	80
MEMENTO MORI	
ROZDZIAŁ 3	141
MAŁE CUDA	
ROZDZIAŁ 4	187
MROCZNE POKOJE, MROCZNE TAJEMNICE	
ROZDZIAŁ 5	237
WIĘZY KRWI	
ROZDZIAŁ 6	275
OPERACJA „FAFNIR”	
ROZDZIAŁ 7	356
PANOWIE I NIEWOLNICY	
ROZDZIAŁ 8	390
RANDKA Z DEMONEM	
ROZDZIAŁ 9	415
GRA POZORÓW	
ROZDZIAŁ 10	462
CZAS ZAPŁATY	